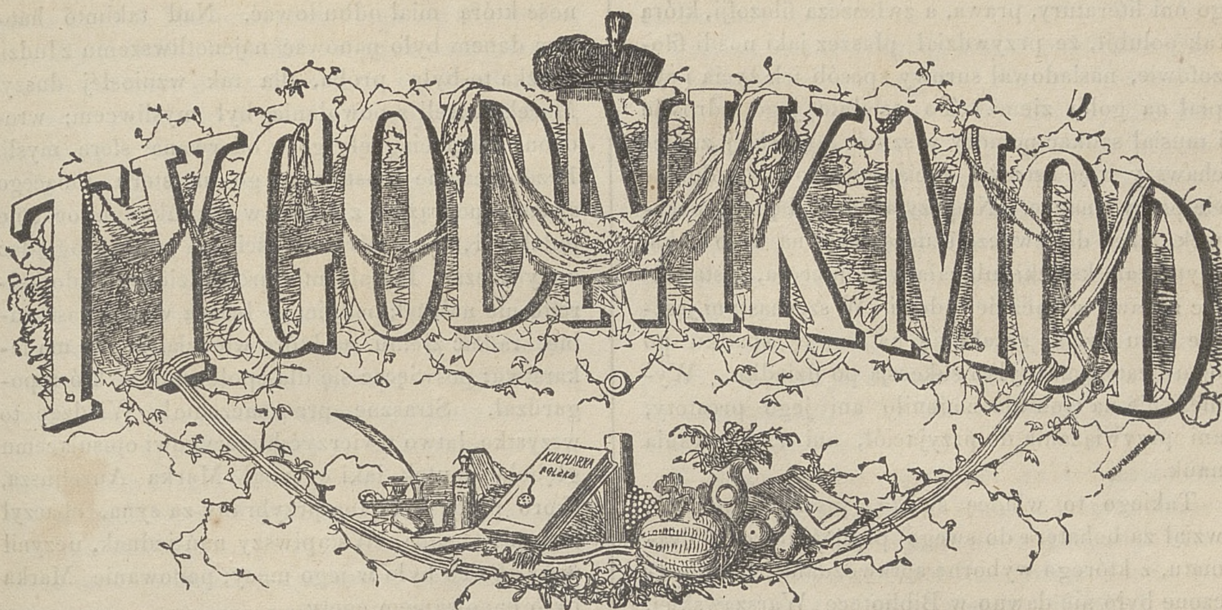
№ 27.

WARSZAWA, DNIA 2 LIPCA 1864 R.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.——**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki,** prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

FAUSTYNA

DRAMAT STAROŻYTNY

LUDWIKA BOUILHET.

Kiedy gwiazda oznajmiła magom w Persji o przyjściu na świat w miasteczku Betleem położonem w górach Galilei, Jezusa Chrystusa, pogaństwo i pycha Rzymu ówczesnego pana świata znajdowały się na najwyższym szczycie swego potwornego rozwoju. Ubóztwienie materji a za niem idąca rozpusta, sobkostwo, używanie świata, rozkosze, niewiara, nikczemność, upodlenie, wyzuwanie się z wszelkich uczuć ludzkich, a nawet lekceważenie ich i wyśmiewanie, jak deszcz ognisty spadając z góry, przesiąkały warstwy społeczne, rozpływając się w łzach i jękach boleśnych biedoty, których dopiero chrześcjanizm nazwał ludźmi, braćmi w Chrystusie i dziećmi jednego Boga. Tron Cezarów broczył się purpurą krwi ludzkiéj; na jedno skinienie potężnego władzcy kładły się szeregi trupów, zarówno nienawistnych jak ulubieńców, a motłoch przyklaskiwał warcząc z radosnéj zemsty i ciesząc się ogryzkami z sutéj u góry biesiady. Wreszcie ta bahanalja krwawa, zaczęła urok swój tracić pod łagodnem boskiem tchnieniem prawdy ewangielicznéj, społeczność zaczęła poglądać ze wstrętem na rozpasanie bezecne materji, i stając się pomału ludzką, *ludziom* oddawała berło władzy.

Kiedy Adrjan hojny i skąpy, wielki i płochy, łaskawy i mściwy na przemian, przedstawiający mięszaninę cnót i wad potwornych, wielkiego rozumu i równie wielkiego głupstwa, zszedł ze świata, nastąpił po nim Tytus Antonin, jeden z najlepszych monarchów o jakich kiedykolwiek historja wspomina. Życie jednak domowe zatruwała niegodziwość żony jego Faustyny, a gdy po dwudziestu trzech latach panowania uczuł się bliskim zgonu, zięcia swego Marka Aureljusza naznaczył po sobie na cesarstwo następcą.

Od młodu Marek szczególną odznaczał się prawdą i szczerością, tymbardziéj dziwną, że kłamstwo rządziło ówczasowym światem, i przed niem

korzyło się wszystko co żyło. Antonin sam go wychowywał, późniéj powierzył wychowanie Marka najzawołańszym ówczesnym mistrzom. Uczyli go oni literatury, prawa, a zwłaszcza filozofji, którą tak polubił, że przywdział płaszcz jaki nosili filozofowie, naśladował surowy sposób ich życia i sypiał na gołéj ziemi. To osłabiło jego zdrowie i musiał szukać pomocy w sztuce lekarskiéj, zaniechawszy więc ostrości życia, wyzdrowiał, oddając się pracy i nauce. Nieprzyjacielem będąc rozrywek, jeżeli dla zwyczaju uczęszczał na widowiska, czytał tam książki lub załatwiał interesa, zostawiając zabawę wyłącznie ludowi. W szesnastym jeszcze roku życia, zrzekł się na siostrę spadku po ojcu i zatrzymał tylko sukcesją po dziadku. Wyniesienie na tron nie zmieniło ani jego prostoty, ani przywiązania do przyjaciół, ani zamiłowania nauk.

Takiego to władcę świata, pisarz francuzki, wziął za bohatera do swego pięcioaktowego dramatu, z którego wyborne sprawozdanie, pomieszczone było nie dawno w Bibliotece Warszawskiéj.

Skoro Marek Antonin wstąpił na tron, powiada autor, cesarstwo powiększone przez Trajana, uspokojone przez Antonina, chyliło się ku upadkowi. Ludności ubywało codziennie, pustynie poczęły się tworzyć wśród żyznych gruntów, małżeństwa stawały się coraz rzadsze, jakby ludzie postanowili dobrowolnie zakończyć uprzykrzone życie. Na zewnątrz ryczące morze barbarzyńców oblewało rzymski widnokrąg, fale jego już biły o granice cesartwa odepchnięte przez Trajana, za Adrjana zalały trzy prowincje. Bożek Terminus, symbol trwałości rzymskich zdobyczy, cofnął się po raz piérwszy.

Wewnątrz, jak gangrena w ciele, tkwił upadek bez ratunku. Despotyzm połamał wszystkie sprężyny, pokrzywił wszystkie prawa, popsuł wszystkie charaktery. Rzym odrętwiały, na cezarów zwalił ciężar życia i czynności: musieli przewidywać wszystko, myśleć i rządzić za te miljony ludzi bezwładnych, musieli być duszą tego olbrzymiego trupa pokrywającego ziemię. Słowo nawet zostawiono im jako wyłączny przywiléj, skoro cezar milczał świat był niemy.. Senat nagięty do służebności, podnosił głowę jedynie, ażeby lżyć cezara zachodzącego a głosić wschodzącego. Patrycjusze spodleni dworactwem zrównali się z niewolnikami. Lud zbydlęcony w cyrku, pijany krwią zwierząt i gladjatorów, żądał tylko od pana chleba i zabijatyki. Ustawiczną dezercją w głodnem wojsku, rząd musiał zapychać niewolnikami. Urzędowa religja starego Rzymu zmieniła się w bałwochwalstwo wschodnie; miejsce bogów zajęły potwory, Panteon stał się egipską menażerją. Wyziewy czarnoksięzkie zatruły powietrze... chrześcijanizm jeszcze w zarodku podkopywał społeczność którą miał odbudować. Nad takimto haosem danem było panować najcnotliwszemu z ludzi! Ciężka to była próba, dla tak wzniosłéj duszy! Marek Aureli z powołania był myśliwcem; wrodzone chęci ciągnęły go w oderwaną sferę myśli. Przeznaczenie postawiło go u steru tonącego świata... pogrążyło z głową w rozhukanym oceanie ludzkości, na który właściwie miał spoglądać z wybrzeża. Kazało mu prowadzić wiek do którego nie należał; podpierać lecącą w przepaść ruinę, radzić złemu, na które wiedział że nie ma lekarstwa: poświęcać się dla społeczności, którą pogardzał. Straszne przeznaczenie! Wiedząc to wszystko, łatwo uwierzyć historykowi opisującemu głęboki smutek, jaki ogarnął Marka Aureljusza, skoro przez Adrjana przybrany za syna, obaczył tron przed sobą. Wstąpiwszy nań jednak, uczynił wszystko co było w jego mocy; panowanie Marka było panowaniem cnoty.

Podzielił władzę z senatem i ludem; pod jego wpływem, twarde prawo rzymskie nabrało greckiéj łagodności; wszystkie rozporządzenia jego zmierzały do polepszenia doli słabych i maluczkich, otwierały im drzwi wyzwolenia: pan świata pomyślał nawet o pogrzebie ubogich, cezar z wysokości swego tronu, rzucił płaszcz na nagiego trupa nędzarza wleczonego do stosu. Karał jedynie prześladowców i oszczerców: zamknął zródła krwi tryskające z areny. Z jego rozkazu gladjatorowie bić się przestali na ostre; jako greckie atlety, wzięli do walki miecze zaokrąglone. Sam jeden ze wszystkich cezarów, Marek Aureli śmiał wydrzeć ludowi pastwę z ludzkiego mięsa. Nawet dla tak oczyszczonego z morderstwa cyrku, okazywał pogardę, siedząc podczas widowiska schylony nad książką, albo słuchając raportów. Nie mogąc potępić cyrku swoją nieobecnością, cesarz protestował postawą przeciw okrutnéj zabawie ludu.

Dobroczynne panowanie Marka nawiedziły wszelkie klęski. Tyber wezbrany groził Rzymowi zatratą: po wylewie nastał głód, po nim zaraza przyszła dobijać wycieńczone cesarstwo. Kattowie wkroczyli do Germanji, Bretończycy burzyli się, Partowie rozpoczęli kroki nieprzyjacielskie, słowem świat się walił jak gdyby dla wypróbowania sił podpierającego męża.

Marek dzielne stawił czoło, niebezpieczeństwu żywił lud i odpierał barbarzyńców, a przeciw Partom wyprawił brata swego Lucjusza Verusa, którego równocześnie ze swem na tron wstąpieniem

mianował Augustem i towarzyszem władzy cesarskiéj. Ale się pomylił; Lucjusz Verus na pobrzeżach Azji oddał się najsromotniejszéj rozpuście. Tymczasem barbarzyńcy podbudzeni w Germanji przez bitnych Markomonów, wzięli się do oręża, a w Illyrji Gallowie podnieśli powstanie przeciw cesarstwu, które przez to znalazło się w nader krytycznem położeniu w jakiem od wojen punickich, Rzym nigdy nie był.

Tą razą Marek sam na czele legjonów wyruszył w pole. Pałac swój odarł, żeby pokryć koszta téj wyprawy, mury zostały nagie jak namiot, w którym miał mieszkać lat osiem. Przez dwa miesiące sprzedawano na forum Trajana, ozdoby cesarskie, złote i kryształowe czary, kosztowne wazony i drogie kamienie, obrazy, posągi, nawet suknie żony Marka imperatorowéj Faustyny.

On sam wyjechał chory na tę krwawą wojnę, która trwała długie lata w klimacie zabójczym dla jego słabych piersi. Walcząc na lodzie, obozując w śniegu lub bagnie, jedząc tylko rano i wieczór, zanim miał do wojska przemawiać, monarcha bohaterstwem swojem zwyciężył barbarzyńców, a dobrocią swoją ich przyswoił.

W téj kampanji wyobraźnia przedstawia go sobie tak, jak go pokazuje konny posąg na kapitolu, jak go opisuje Adam, kiedy z nad brzegów Renu i Paktolu, do spokojnego wraca kapitolu.

Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło;
Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;
Rękę poważnie wzniósł, jak gdyby w koło
Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,
A drugą rękę opuścił na wodze —
Rumaka swego, zapędy ukraca.
Zgadniesz, że mnogi lud stał tam na drodze,
I krzyczał: Cesarz, ojciec nasz powraca!
Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem,
Wszystkich ojcowskim udarować okiem;
Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,
Lecz zna że wiezie najmilszego z gości;
Że wiezie ojca miljonom dzieci,
I sam hamuje ogień swéj żywości.
Dzieci przyjść blisko, ojca widzieć mogą,
Koń równym krokiem, równą stępa nogą,
Zgadniesz, że dojdzie do nieśmiertelności.

Ileż prób w tym wzniosłym żywocie! Ileż walk rozdzierających na łonie téj chwały. Jakie boje musiał staczać w duszy stoik z cezarem... bo choć sprawiedliwie rządził, rządził jednak przeciw swym zasadom, bo jako filozof nienawidzący barbarzyństwa, musiał krew przelewać. Czemże być mogła chwała wojenna dla człowieka, który z wzniosłą pogardą mówi, kreśląc swe *Myśli*: pająk chlubi się że schwytał muchę, pomiędzy ludźmi, jeden się chełpi że złapał zająca, inny że rybę złowił, ten że dzika, ów że niedzwiedzia, a tamten że Sarmatę zabił.

Czciciel zasady Jedynéj, musiał publicznie składać ofiary tysiącom bogów. Skoro wyjeżdżał do Germanji, lud żądał żeby zabrał chaldejskich czarowników i musiał za sobą wlec gromady astrologów. Bunty i zdrady znosił z bezprzykładnym spokojem. Avidiusz Cassiusz najdzielniejszy wódz zbuntował się przeciw Markowi. Kiedy ostrzegano cesarza o ambitnych zamiarach żołnierza, odpowiedział:

— „Jeżeli Avidiusz godniejszy miłości niż moi prawi następcy, jeżeli dobro państwa wymaga żeby Cassiusz żył, a nie dzieci Marka Aureljusza, niechaj przepadną.”

Własna rodzina zdradzała go i bezcześciła. Przybrany brat Luciusz Verus, z którym dobrowolnie podzielił się cesarstwem, w Antijochji marniał w ostatniéj rozpuście; Faustyna w Gaecie żyła tak bezwstydnie, że aż błazny wyszydzali w teatrze, małżeńską hańbę cesarza. Syn Kommodus, niecny wyrodek, każdym postępkiem ranił ojcowskie serce. Tyle cierpień i goryczy, nie zdołało jednak zatruć źródła przeczystych uczuć w sercu Marka. Myślał jak stoik z bronzową duszą, a kochał jak najtkliwszy z ludzi. Na forum wzniósł świątynię na cześć *Dobroci*. Nowe to bóztwo wśród pogaństwa, wyrosło z serca Marka Aureljusza.

Miłosierdzie jego było bez granic. Gdyby był mógł, byłby pewnie ocalił buntownika Cassiusza. Bratu Verusowi wyrzucał tylko, że zły przykład daje, a zamiast go moralizować uwagami, zamieszkał dni kilka u niego, i w tym pałacu pełnym kału i wszeteczeństwa przedstawił rozwięzłym wzór stoickiego życia. Dla Verusa musiała to być strasznie nudna nauka, który zarówno pozbawiony przymiotów umysłu jak cnót, przepędzał dnie u biesiadniczego stołu a wieczorami dokazywał na ulicach z towarzyszami niecnéj rozpusty. Pałac zamienił w szynkownią, żeby zaś kolor włosów zachować jasnym, który najwięcéj podobał się Rzymianom, posypywał je złotym proszkiem. Jedna uczta kosztowała go miljon dwa kroć sto tysięcy franków i każdemu z dwunastu gości, ofiarował złoty wieniec, pięknego niewolnika, srebro stołowe, przydając za każdym toastem najkosztowniejszy puchar z kryształu aleksandryjskiego lub ozdobiony dyjamentami. Przytém biesiadników ozdobiono wieńcami z najrzadszych kwiatów o téj porze i obdarzono najdroższemi wonnościami w zło-

tych flakonikach. Gdy zaś odchodzili, każdy znalazł dla siebie powóz zaprzężony mułami w przepysznym rzędzie. Nie poprzestając na tak szalonym zbytku, ulubionego konia zwanego Celer, karmił rodzenkami i migdałami, okrywał purpurą i przeznaczył dla niego za stajnią wspaniały pałac. Kiedy mu zdechł ten ulubieniec wzniósł mu Verus posąg ze złota i wspaniałe mauzoleum na Watykanie. Żyjąc tak w bydlęcem rozpasaniu wybornie charakteryzującem usposobienie zwierzęce całego społeczeństwa, umarł w Altinum w trzydziestym dziewiątym roku życia. Po śmierci swéj policzony został w poczet... bogów, dowodząc tem najlepiéj, jakie było u ogółu wyobrażenie o wszechmocnéj Potędze, którą chwalą korząc się wszystkie światy, widome i niewidome znane i nieznane, w całéj swéj masie, stanowiące ledwo podnóżek tronu Tego co je stworzył, porusza i utrzymuje.

Niecna Faustyna zawsze Markowi była drogą, tak dalece że udawał iż nic nie wie o jéj rozpuście. Była ona córką Antonina, mniemał więc Marek że odtrącając ją ubliży pamięci swego dobroczyńcy i opiekuna. Z dziećmi swojemi sam stawał się dziecięciem. Pieścił swoje córeczki zowiąc je Pliszeczkami. Skoro po zwycięztwie odniesionem nad Parthami, zarządzono wjazd tryumfalny, Marek na wozie za sobą postawił dwie swoje córeczki.

Widok w starożytności bezprzykładny, nieznana bowiem i wyszydzana niewinność i sponiewierana rodzina, tryumfowały w całéj swéj wielkości z bohaterstwem.

Miarą téj wielkiéj duszy nie zrozumianéj przez dziejopisów, są *Myśli* opisane przez samego Marka Aureljusza. Tam on wybija w całéj swéj potędze. Większa część tych oderwanych kartek później zebranych w całość, była kreślona w obozie pod namiotem, kiedy cesarz, wraz ze zbroją składając brzemię cesarstwa, mógł zajmować się własną duszą. Dostojna księga poczęta w ciszy, ma powagę, ciepło i skupienie pogodnéj nocy letniéj. Myśli oderwane w kształcie strof, ody lub argumentów filozoficznych płyną ze ściśnionego serca i jasnowidzącego umysłu. Są to niby odetchnienia, pomiędzy ciężkiem *Dziś* i nie lżejszem *Jutrem;* zwierzenia, które lubownik samotności sam sobie czyni, wymknąwszy się z tłumu; bądanie sumienne odpowiedzialnego za losy świata.

Nigdy nikt prawdy nie szukał goręcéj i nie miłował więcéj jak Marek Aureli. Jego pojęcie rzeczy ma nagą wielkość świątyni, bez symbolów ni ozdób. Marek Boga swego nie odłącza od świata, tworu żywego, niepodzielnego, który o Stwórcy znać daje, rozwijając się wedle praw nieomylnych. Niezliczone kształty istot przedstawiają mu czyny téj potęgi odradzającéj, zamiłowanéj w tworzeniu i odnawianiu wieczystem swych tworów. Posąg, człowiek roślina, śpiewają mu pospołu wielkość Stwórcy. Słyszy ogólną harmonją wszechświata. Ból, śmierć, niesprawiedliwość są tylko wrzekomym fałszem koncertu, którego całéj harmonji objąć nie jesteśmy w stanie, źle zrozumianym szczegółem wspaniałéj całości. Wszystko jest wielkiem i sprawiedliwem, wszystko w porządku w stworzeniu Bożem.

Przed Stwórcą takiego dzieła, Marek Aureli uchyla kornie czoło, drżąc z uwielbienia i bojaźni. Wielbi on Stworzyciela nawet w Jego potworach i okropnościach, powiada: nawet lwia paszcza, śmiertelna trucizna, wszystko co może szkodzić, jak ciernie i błoto, są akompanjamentem rzeczy szlachetnych i wzniosłych. Nie wyobrażaj sobie człowiecze, że jest cóś nieznanego Wielkiéj Istności, którą czcisz. Rozmyślaj nad rzeczywistem źródłem wszechrzeczy.

(d. n.)

---

*
* *

Żegluga parowa idąc w pomoc stęschnionéj do świeżego powietrza Warszawie, urządziła przeprawy Wisłą od ulicy Bednarskiéj na Saską kępę. W przeszłą niedzielę wycieczka ta spacerowa piérwszy raz odbytą została, przewożąc rojne tłumy Warszawiaków, w ciche to zwykle ustronie a strojne we wszystkie powaby i niepowaby wioskowe. Od południa głównie rozpoczęła się przeprawa, bo chociaż statki od rana już kursowały, ale Warszawa nigdy niezapomina o modlitwie, i w dniu nawet świątecznéj rozrywki, rano przepełnia kościoły a po nabożeństwie i obiedzie, rozsypuje się we wszystkich kierunkach szukając cieniu, chłodu i świeżego powietrzem oddechu.

Rano też statki parowe odbijając od brzegu, nader szczupłą liczbę ochotników mieściły na swoich pokładach, ale po południu, brzeg Wisły nad przystanią oblepił się głowami pragnących korzystać z przejażdżki jak makówkami; pchano się, tłoczono, przepraszano, nadeptywano, urywano suknie, wyrywano całe bryty, i nie zły to już musiał być siłacz co się potrafił dostać na statek. Po napchaniu się na pokład, gwizd sygnałowy z przeraźliwym piskiem, przygłuszał gwar ludzkiéj wrzawy; przycichała para zamieniając się w taktowne ude-

rzania kół obrotowych, i statek z szumem, pryskając pianą, wykręcił się majestatycznie całym swym korpusem, kierując się nurtem Wisły ku Saskiéj kępie.

Puściwszy myśli z falami niezmiernie bystro płynącéj rzeki, nowym mostem przez zjazd, ruszyłem daléj i wszędzie w Saskim, botanicznym ogrodzie, na ulicach, w alejach, znalazłem rojno, tłumno, tłoczno, jakby ludzie powyrastali z pod ziemi, lub wszyscy Warszawiacy z mieszkań wynieśli się na ulice.

Błąkając się tak pomiędzy tumanami kurzu i nieznośnym trajkotem licznych powozów i dorożek, pochwytałem tu i owdzie ulotne zdania dotyczące niektórych mych wyrażeń, o *sknerstwie i zdzierstwie*, wyrzeczonych w kwestjach jak na teraz dosyć ważnych. Szorstkości rzeczywiście nie zaprzeczam, ale czyż łojówkę mam nazwać słońcem, móla jedwabnikiem, z obawy, żeby łojówka się nie obraziła, a mól nie rozgniewał? Przyzwyczajony od dziecka wszystko mianować właściwym wyrazem, wybaczcie gdy i na przyszłość zostanę nie poprawiony, i nigdy sknerstwo nie nazwę przewidującą oszczędnością, a zdzierstwa uczciwą spekulacją. Wreszcie jeżeli sam czyn nie wstydzi, dlaczegóż ma gniewać nazwanie go właściwym wyrazem? Już Krasicki dawno wyrzekł, że we wszelkich zarzutach robionych ludziom:

.... Jeżeli potwarz sama pełznąć zwykła,
Jeżeli prawda....? poprawcie się.

A teraz przechodzę do udzielenia Wam dwóch nader miłych wiadomości, zostających w stosunku z ruchem umysłowym, przy każdéj sposobności, podnoszonym przezemnie może aż do sytości i znudzenia.

Przed tygodniem przysłano mi powiastkę Dickensa p. t. *Mały zysk, Strata wielka* tłumaczona z angielskiego oryginału, z tém nadmienieniem, że dopełniła tego rodowita szesnastoletnia Angielka, dopiero od roku przybyła do Warszawy, i przedtém ani jednego słowa nie umiejąca po polsku....

Praca ta oprócz małych błędów w przypadkowaniu, w rodzaju i czasem w niepotrzebném używaniu zaimków, co wszystko z nader wielką łatwością dałoby się poprawić, dokonaną została niespodziewanie tak dobrze, że gdyby tylko sama powieść była więcéj interesującą, chętniebym ją pomieścił w dodatku, jako przykład dla..... osłaniających próżniactwo niepodobieństwem. Postaram się jednak o inną podobną pracę zacnéj i pracowitéj Angielki, a wtenczas przeczytacie i osądzicie. Dziś zaś składam Jéj publicznie podziękowanie.

Przed tygodniem także, piętnastoletni chłopczyk uczeń szkół publicznych Władysław Bełza, syn zasłużonego profesora, przyniósł mi wierszyki własnego układu, i z minką skromną odpowiednią wiekowi, prosił o umieszczenie ich w Tygodniku. Jeden z tych wierszyków, napisany w Imionniku dla trzynasto-letniego Czesława, synka tak ulubionego Pisarza i Artysty Jana Chęcińskiego, brzmi jak następuje:

Luby Czesiu! póki lata,
Póki dzionki kwitną młode,
Póki duch Twój rwie się, wzlata:
Poznaj ojców twych zagrodę.

Poznaj drzewa wiekiem zgięte,
Słuchaj pieśni w listków szumie,
A kto uczci drzewa święte,
Ten i piosnkę ich zrozumie.

Patrz! w ustroni małe ptasze,
Swojską dumkę mile dzwoni,
Wietrzyk szumi piosnki nasze,
Po rozkwitłéj wonnéj błoni!

O! posłuchaj! pieśń ojczysta,
Powie Tobie wiele, wiele,
A tak rzewna, dzwięczna, czysta
Jak głos dzwonka przy kościele.

Jeśli smętny śpiew słowika,
Płynąc w cichy zmrok majowy
Tęschną nutą od dąbrowy,
Na wskróś duszę Twą przenika,

Ileż więcéj dumki słowa,
Do stęschnionéj mówią duszy,
Ileż więcéj pieśń wioskowa,
I zachwyci ją i wzruszy?! —

Wierszyk to dosyć udatny jak sami widzicie, jest w nim i myśl poczciwa i czucie serdeczne i formie nic zarzucić nie można: słowem widać, że Bóg dał młodemu Autorowi zdatność, wiele obiecujący materjał z czasem w talent poetyczny mogący się przemienić. Niechże więc stara się pielęgnować go twoskliwą pieczą, kształcić nauką, wzbogacać wiadomościami, wyrabiać pożytecznem czytaniem, duszę podnosić ku Bogu, serce napełniać miłością i braterstwem, aby hartowną żelazną wolą wyrosł wreszcie na męża, co przynosi zaszczyt krajowi a pociechę i dumę rodzicom. Przedewszystkiem zaś, niech młodziutki autor odpycha od siebie z największą troskliwością, wszelkie wybryczki zarozumienia, jako największe przeszkody wszelkiego w człowieku postępu: niech pamięta, że wydrukowaniem pierwszych próbek poetycznych, przyjmuje na siebie obowiązek zaszczytnéj przyszłości i odpowiedzialność gdyby życie

swe na manowce i bezdroża wprowadził. Kiedyś bowiem upomnę się i zapytam czy młodzieniec wiele obiecujący, spełnił pokładane w sobie nadzieje?

Czesławowi zaś Chęcińskiemu życzę, aby jako przyjaciel Władysława Bełzy, starał się wstępować w jego ślady, który nie wątpię, że stanie się dla wszystkich swoich kolegów, przykładem godnym naśladowania.

M O D Y.

Paryż 22 Czerwca 1864 r.

Jeżeli długo moda trzymała się mniéj więcéj w jednéj mierze, to za to w tym roku wpadła w nadzwyczajną przesadę, i stała się prawdziwie dziwaczna. Oprócz fraków o których mówiliśmy już kilkakrotnie, do nowości tegorocznych należą kapelusze bez ronda, bez karczka, a nawet bez podgarnirowania. Jest to coś nieokreślonego, na kształt fanszonika związanego na wielką kokardę pod brodą, przybranego kwiatami nad czołem. Zapewne że taki kapelusz zrobiony ręką biegłéj modniarki, zręcznie i lekko wygląda, ale czyż odpowiada celowi? Owe kapelusiki, zwane *bibi* lub *fanchon*, robią ze słomy, z włosia, a najwięcéj z tiulu jedwabnego, białego lub czarnego, nalepianego słomą w kółka, lub też haftowanego białą sieczką. Pod brodą oprócz wstążek do wiązania, widać u niektórych długie i szerokie końce z białéj illuzji które wiążą się także na kokardę. Zamiast podgarnirowania po bokach, idzie iluzja, ułożona w kilka podłużnych fałdów. Miejsce karczka u niektórych kapeluszy, zastępuje koronka lekko nagarnirowana, u drugich po prostu kokardka z wązkiéj wstążki z bardzo długiemi końcami u innych znów spadające pukielki z wstążki lub aksamitki, albo nakoniec trawa. W ostatnim razie i podpięcie nad czołem ma być z blondynki i trawy. Z pod główki na tył spadają włosy w kokach, pokryte niewidzialną siateczką.

Z pomiędzy okrągłych kapelusików najwięcéj widać w formie szkockiego kaszkiecika, zdobią je bukietem piór, kitką albo skrzydełkiem, i kokardą aksamitną; obszywają w koło słomianemi grelotkami. Piórka orle naturalnéj barwy, ładnie przy nich wyglądają.

Oprócz sukien z baskiną, podłużoną z tyłu na kształt fraka, noszą także inne z gładkim stanikiem, przepasane paskiem nadzwyczajnéj szerokości, który zachodzi pod samą pachę. Pasek ten czarny lub koloru sukni spina się na sprzączkę stalową albo złotą. Staniki takie właściwe tylko dla bardzo szczupłych osób.

Do wyjścia na ulicę najwięcéj upowszechnione spódniczki z krótkiemi paletocikami. Zwykle je naszywają aksamitką wązką, wstążką czarną albo fijołkową w rozmaite gzygzaki i treliaże. Garnirunek paletotu, odpowiada spódnicy. Używają też do naszycia lekkiéj pasmanterji lub gipiury, kolor popielaty w rozmaitych odcieniach, i hawanna najczęściéj dają się widziéć na ulicy.

Suknie pikowe i perkalikowe, mają szeroki szlak odpasowany, tak w koło spódnicy, jak i u stanika. Szlak ten naśladuje zwykle gipiurę czarną, albo naszycie z sutaszu i pletni.

Uważaliśmy także do wyjścia na ulicę wielkie beduiny bareżowe koloru sukni, ogarnirowane takąż samą wodą. Do cokolwiek większego ubrania zarzucają rotondy z białéj koronki wełnianéj zwane *yack*, od kozy z któréj używa się wełna, na ten rodzaj koronki.

Wiele sukien wycinają u dołu w niewielkie okrągłe zęby, obszyte aksamitką czarną, nad którą naszycie powtarza się kilka razy. Aksamitka bierze się na to bardzo wązka. Paletocik tak samo bywa przybrany.

Koszulki białe fularowe, do kolorowych spódniczek ciągle się utrzymują, naszyte są zwykle pasmanterją lub gipiurą. Robią także koszulki z białego muszlinu w drobne kropki ciemne, wygarnirowane ruszką tak wzdłuż przodu jak i u szyi. Rękawy u nich sredniéj szerokości, przymarszczone żeby ręka wolno przejść mogła, ogarnirowane ruszką u ręki.

Parasoliki niewarowe z fularu, podszyte zieloną lub szafirową materją, należą do najmodniejszych, na ulicę używają zwykel parasolek średniéj wielkości zwanych *en cas*, które w potrzebie mogą zasłonić i od deszczu. Do powozu tylko używane są małe zwane *ombrelki* pokrywane białą lub czarną koronką na materji.

Pończochy kolorowe coraz się więcéj upowszechniają. Noszą je tego samego koloru jak i suknia.

ROZMAITOŚCI.

Meyerbeer. Znamienity ten kompozytor twórca Roberta Djabła. Hugonotów, Proroka, i wielu innych, urodził się w r. 1794 w Berlinie, gdzie oj-

ciec jego Izraelita był bogatym bankierem. W siodmym roku życia już grał z tak wielką biegłością na fortepjanie, że gdyby nie należał do zamożnéj rodziny, nie zaniedbywanoby go obwozić po koncertach i pokazywać jako dziecko cudowne. W r. 1803 Gazeta Lipska już mówi o tym dziesięcioletnim chłopcu, jak o jednym z najznakomitszych fortepjanistów w Berlinie. W r. 1809 nauczyciel jego Weber genjalny autor Frajszyca posłał Voglerowi poważanemu za najznakomitszego mistrza kompozycji w Europie, fugę napisaną przez młodego Beer, a Vogler zapragnął poznać ten tak wczesny talent. Został więc jego uczniem i choć Izraelita, zaczął poświęcać się muzyce religijnéj dla kościołów chrześcijańskich.

Piérwsza opera Córka Jeftego przedstawiona w r. 1812 w Monachjum nie zrobiła wielkiego wrażenia, muzyka jéj była poważna i surowa i opera bardzo swym stylem przypominała oratorjum. Od r. 1812, to jest mając lat 18 wieku Beer rozpoczął zawód wyłącznie artystowski, który przez lat 50 przeszło, miał z taką dla siebie sławą prowadzić.

Z pierwszym koncertem wystąpił w Wiedniu z niezmiernem powodzeniem, a w r. 1814 z drugą operą komiczną Abimelek albo Dwaj Kalifowie, która zrobiła najzupełniejsze fjasko. Zniechęcony opuścił Wiedeń i udał się do Włoch ale nie porzucił jednak sztuki, chociaż do znakomitéj fortuny jaką od ojca posiadał, przybył zapis niejakiego Meyera przyjaciela rodziny, pod warunkiem by do rodzinnego nazwiska Beer, przyłączył jego nazwisko Meyer. We Włoszech na nowo poświęcił się nauce i pracy, a owładnięty wpływem Rossyniego, odstąpił niemieckiéj szkoły i uległ całkiem genjuszowi tego sławnego mistrza. Bawiąc we Włoszech do r. 1826, ciągle był niepokojony przez dawnych swych nauczycieli za dezercją z pod sztandaru muzycznego któremu służyli. Ulegając wreszcie doświadczeniu zmienił zupełnie manjerę swych kompozycji, i to dopiéro zaprowadziło go do przybytku nieśmiertelnéj sławy należnéj prawdziwym genjuszom. Po stracie dwojga dzieci, boleścią przejęty oddał się muzyce religijnéj, a dopiéro dzień 21 Listopada 1831 roku, w którym pierwszy raz przedstawiony był Robert Djabeł, postawił Meyerbera w rzędzie kompozytorów, których pamięć nie zaginie. Ile zachodów ponieść musiał, by przeprowadzić owe przedstawienie, ile niechęci zwalczyć, ile wątpliwości pokonać, o tém powiedzą kiedyś jego bijografowie. Nawet administracja opery nie liczyła na powodzenie; pierwsze jednak przedstawienie, rzecz rozstrzygnęło i kassa znowu przynosiła dziennie po 10,000 fra. Przedsiębierca zrobił majątek Meyerbeer zrobił drugi na prawach orkiestry, a oprócz tego za partycją dostał fr. 80,000. W ówczas nie płacono jeszcze tak kolosalnych summ autorom jak dzisiaj, a raczéj płacono je rzeczywiście, kiedy dziś znaczna część ogłaszanych przez dzienniki cen rękopismów jest kłamstwem i reklamą, tak dla księgarza jak i autora.

Od téj chwili Meyerbeer stał się panem targu i publiczności. W Paryżu Roberta przedstawiono dotąd około 500 razy: w Nowym Orleanie przez trzy miesiące dwa teatra codzień go przedstawiały i nie ma żadnéj sceny na całym świecie gdzieby Robert nie był znany i uwielbiany. Zmarły mistrz należąc do ludzi pracujących wiele głęboko ale powoli, w pięć dopiero lat przedstawił w r. 1836 Hugonotów, a w trzynaście później 1849 r. Proroka. Zdaniem znawców, w Robercie, między pracą a natchnieniem równowaga najzupełniéj jest zachowaną: w Hugonotach równowaga ta jest nieco naruszoną, w Proroku zaś praca nad natchnieniem stanowczo przemaga.

Niemcy nie mogąc mu darować nigdy, że wolał swe opery widzieć dobrze przedstawione w Paryżu jak średnie w Berlinie, obrzucali go krytykami często za nadto surowemi. W rękopiśmie pozostawił operę Afrykankę o któréj bardzo dawno głosiły gazety.

Z trzech straców, którzy do téj pory żyli w Paryżu, używając tak słusznie zarobionéj sławy, zmarły Meyerbeer był najmłodszym. Auber pełen czerstwości pomimo 70 lat wieku jeszcze do pracy chętny. Rossini ma lat 72, ale już dziś dla sztuki zupełnie stał się obojętnym.

Pogrzeb Meyerbeera. Dnia 2 Maja wielki ten mistrz twórca tylu arcydzieł muzycznych zakończył życie w Paryżu. Natychmiast utworzony komitet, postanowił ciało przewieść do Berlina, i w tym celu sale kolei północnéj wybito czarną materją i urządzono trybuny. W obecności komisarza policji nabalsamowane zwłoki zamknięto w dwóch trumnach i wystawiono w pomieszkaniu nieboszczyka w pośród kwiatów i wieńców z nieśmiertelników. Tu oddały ostatni hołd umarłemu deputacje różnych akademji, członkowie konserwatorjum, towarzystwa dramatycznych pisarzy, członkowie opery wielkiéj, komicznéj, dwóch niemieckich muzycznych stowarzyszeń i wielu innych. O godzinie 1 z południa wyruszył kondukt pogrzebowy. Przed olbrzymim, przez sześć koni ciągnionym karawanem, jechało dwóch rabinów. Za nimi postępował mistrz ceremonji, niosąc na poduszce dekoracje nieboszczyka, potém służba synagogi, rodzina i niezliczone tłumy ludu, z deputacją francuzkiego instytutu na czele. Każda korporacja niosła chorągiew z właściwym napisem, na końcu szły powozy w wielkiéj liczbie i oddział gwardji narodowéj. Różne oddziały muzykantów grały żałobne marsze, wyjęte z utworów zmarłego mistrza, a odzywające się od czasu do czasu werble bębnów, nadawały całemu pochodowi ponury charakter. Na bulwarze Madelaine wielka liczba dam złożyła na trumnie wieńce i bukiety. Część kolei północnéj zamieniono w żałobną kaplicę, oswiecona była zielonemi płomieniami, a na ścianach wisiały tarcze z tytułami dzieł Meyerbera. Na środku stał olbrzymi katafalk, poseł pruski, hrabiowie i baronowie, trzymali końce całunu, trzy orkiestry zagrały kompozycje zmarłego, powiedziano siedem mów rozmaitych, a starszy rabin zakończył modlitwą w hebrajskim i francuzkim języku. W wagonie wewnątrz i zewnątrz czarno wybitym, umieszczono trumnę, która pociągiem nadzwyczajnym w 25 godzin przybyła do Berlina

i bez żadnego obchodu ustawioną została w pomieszkaniu zmarłego na katafalku ubranym najpyszniejszemi kwiatami.

Na drugi dzień w południe zebrał się orszak pogrzebowy, w którym widziano książąt Jerzego, Radziwiła, hrabiów Luchesini, Rederu, ambasadora francuzkiego, hanowerskiego, deputacje magistratu, miasta opery i t. d. Uroczystość otworzył śpiew członków opery, potém starszy rabin miał mowę pogrzebową, w któréj wykazał że Meyerbeer żelazną pracą i genjuszem wstępował po stopniach coraz wyższych i zdobył sobie imię, które nietylko Europa ale i świat cały z uszanowaniem będzie wspominał: dzieła bowiem jego są pisane mową którą każde ucho rozumie. Obchód zakończył śpiew żałobny, trumnę potém ustawiono na karawanie zdobnym w palmy i odprowadzono piechotą w wielkim tłumie na cmentarz żydowski. Król i wszyscy książęta krwi posłali swoje pojazdy za pogrzebem a królowa przysłała do położenia na trumnę ogromny wieniec.

Meyerbeer pozostawia wdowę nieobecną na pogrzebie i trzy córki które z płaczem postępowały za trumną. Najstarsza jest zamężna za rotmistrzem gwardji dragonów baronem v. Korff, który także był na pogrzebie.

Szajbakpol i Szajbaki. Są to wioski w powiecie Lidzkim, położone na dwu milowéj równinie, rozciągającéj się za miasteczkiem Wasyliszczykami. Na gruntach Szejbakowego pola, mieści się ogromne horodyszcze, czyli okop z wgłębieniem w środku, usłane dziwnego kształtu kamieniami, a niedaleko od niego wznosi się wysoki kurhan obrosły drzewami. Lud rozpowiada o wielkiéj bitwie tu zaszłéj i przywiązuje podanie to do czasów Szwedzkich, kiedy właściwie do XIII wieku odnieść je należy. Nazwa bowiem pola i kamień przed dwoma laty znaleziony, na którym wyrznięte były łuk, strzała, koń, liczby 6,750 rok od stworzenia świata jak dawniéj liczono, a 1242 od narodzenia Chrystusa, i litery słowiańskie Siban i jedna jeszcze zatarta, utwierdzają ten domysł, iż na polach tych odniesione zostało zwycięztwo nad hordami Mongołów, pod wodzą Sibina, Szejbana, czy Szejbaka brata Botego. Bliższe obejrzenie tego kamienia, mogłoby jeszczcze jakie szczegóły nastręczyć, ale znalazł się miłośnik starożytności, który straciwszy żonę, chcąc pamięć jéj nadzwyczajnym uczcić pomnikiem, kamień ten na jéj mogile postawił i owe znaki zetrzéć a w ich miejsce stosowny napis nadgrobny wyryć kazał.

Zbytki u Rzymian. Opisy bogactw i zbytków starożytnych panów świata, podobne są do bajek wschodnich, których fantazji dosyć się nadziwić nie można. A jednak nie są to baśnie. Neron zmarnotrawił półtora miljarda złp. Kaligula miljard, Domicjan na samo wyzłocenie kapitoljum wydał 120 miljonów złp. Adrjan na cześć swojéj teści i poprzednika swego darował ludowi niesłychaną ilość wonności, a strumienie balsamu płynęły w teatrach i ogrodach. Haljogabel kąpał się w sadzawkach, gdzie woda była pomięszana z różnemi najwykwintniejszemi i niezmiernie kosztownemi esencjami.

Oprócz palca środkowego, na wszystkich innych noszono pierścionki. Perły w wielkiem były poważaniu, kobiéty stroiły się w nie, a raczéj obciążały niemi głowę, szyję, piersi, ręce, nawet obuwie. Kaligula pokazywał się okryty cały perłami i przyozdabiał niemi przód okrętów, podobnie jak Neron swoje łóżka. Jedwab kupowano w Persji na wagę złota, mimo tego Cezar kazał pokryć teatr swój namiotem z materji jedwabnéj. Kobiéty nie ustępowały w zbytkach mężczyznom, nie jedna tak przeciążała się ozdobami, że same klejnoty w które się stroiła, warte były przeszło 14 miljonów złp.

Przy takich zbytkach, przy zupełnym upadku rolnictwa, przy sprowadzaniu wszelkich płodów ziemskich z podbitych krain, Rzym musiał chylić się do upadku, i upadł właśnie wtenczas, gdy zdawał się być najpotężniejszym.

Opis ryciny.

Figura 1. Suknia z białego fularu obszyta u dołu fijołkową falbanką, powyżéj czarną jedwabną plecionką albo aksamitką i materją. Stanik gładki, opasany szarfą fijołkową. Rękawy półotwarte. Rotonda z kapturkiem. Kapelusz sparterowy. — Figura 2. Suknia z popielatego fularu, naszyta wstawkami gipiurowemi na podwleczeniu karmazynowem. Poprzeczne drabinki przyozdobione szmuklerskiemi bombkami i koronką. Stanik w kształcie kaftanika z baskiną. Kapelusz czarny włosienicowy. — Figura 3. *Ubranie dziewczynki 3 letniéj.* Sukienka biała pikowa wyszyta u dołu plecionką. Stanik wycięty z epoletem, pod spód bluzka półbatystowa, z długiemi rękawami. Szarfa karmazynowa w czarną kratę. Buciki z safjanu karmazynowego.



Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

---

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.



TYGODNIK MÓD

w Warszawie

nro: 27